

Piotr Klimowski

ŚWIĘCI

POWTÓRNE NARODZENIE



FLOS CARMELI
Poznań 2019

© Copyright by Flos Carmeli 2019 – wydanie I
© Copyright by Piotr Klimowski 2019

Redakcja

Aleksander Szczukiecki OCD

Adjustacja i korekta polonistyczna

Tomasz Łagodziński

Projekt okładki

Mikołaj Cichocki

Imprimi potest

Jan Piotr Malicki OCD, Prowincjał
Warszawa, dnia 01.09.2019 r., L. dz. 122/P/2019

Nihil obstat

Paweł Placyd Ogórek OCD, Cenzor

Imprimatur

bp Damian Bryl, Wikariusz Generalny
Poznań, dnia 28.08.2019 r., N. 4804/2019

Wydawca

FLOS CARMELI Sp. z o.o.
Wydawnictwo Warszawskiej Prowincji Karmelitów Bosych
ul. Działowa 25; 61-747 Poznań; tel.: 61 856 08 34
e-mail: wydawnictwo@floscarmeli.pl
www.floscarmeli.pl

ISBN 978-83-65307-98-9

WPROWADZENIE

wszystko musi być czymś więcej

Kiedyś byłem święty. Myślałem jak święty, czułem jak święty, pragnąłem jak święty. Kiedyś byłem dzieckiem. Miałem wtedy nie więcej niż kilka lat, może trwało to kilka miesięcy, może dłużej. Nie pamiętam. Musiał to być piękny czas, najlepszy czas w moim życiu.

Najgorszy dzień w moim życiu to dzień, w którym przestałem być dzieckiem, w którym po raz pierwszy świadomie i dobrowolnie uczyniłem coś złego, po raz pierwszy wybrałem zło, po raz pierwszy odwróciłem się do Światła plecami.

Przestałem być dzieckiem, chociaż nie byłem jeszcze dorosły; byłem starcem w ciele dziecka.

Ziemia nadal kręciła się jak dawniej, wszystko żyło po swojemu; ptaki latały nad moją głową, ludzie przechodzili obok, *słońce wschodziło nad dobrymi i nad złymi*; nie spadały gromy z nieba, ziemia nie drżała, choć we mnie zawalił się kryształowy pałac, cudowny świat rozsypał się w proch; niewinność dziecka została odebrana, czy raczej odebrałem ją sobie, kawałek po kawałku, dzień po dniu, świadomie i dobrowolnie. Wszystko działo się jak dawniej, a nie powinno, powinno być raczej

na odwrót, jak w chwili, gdy po raz pierwszy upadał pierwszy człowiek; tak samo powinno dziać się i wtedy, gdy po raz pierwszy upada kolejny człowiek, każdy człowiek – wstrząs, anioł, grom, ogień i miecz; upadek świata w inny świat, wypędzenie.

Koniec niewinności jest zawsze końcem czyjegoś świata, lepszego świata – końcem raj.

Po chrzcie wszystko staje się inne, czyste, jasne, święte; święte, tzn. gotowe, by odejść. A jednak nie odchodzi, z jakiegoś powodu pozostaje i staje się coraz mniej jasne, coraz mniej czyste, coraz mniej święte, coraz mniej gotowe, by odejść.

Ochrzczone dziecko jest już tym, kim my, dorośli, dawno temu ochrzczeni, staniemy się dopiero na końcu, niektórzy dopiero po śmierci, niektórzy może nigdy. Dlatego właśnie *jeśli nie staniemy się jak dzieci, nie wejdziemy do Królestwa*.

Byliśmy już święci, musimy zatem wrócić do siebie – z powrotem do siebie. Brama jest wąska i ciasna, wchodzi przez nią nieliczni, najmniejsi – najmniejsi z najmniejszych. Najmniejsi są w niebie najwięksi. Albowiem w niebie musi być inaczej, po części na odwrót niż tu.

IDÉE FIXE

*wszystko
chce być dla nas wszystkim*

Świat. Tyle dobra i tyle zła, a wszystko dane w jednej chwili. Przerażająca i fascynująca zarazem jest owa jednoczesność rzeczy i zdarzeń. Synergia. Tyle grzechów i tyle cnót w tej samej minucie. Na całym świecie, nawet w nas samych, spełnia się jednocześnie niepoliczalna ilość zmian, ruchów, zdarzeń, przeistoczeń, stanów, myśli, uczuć. W tej samej sekundzie bije serce, mózg trawi myśli, żołądek pokarm. Nam dano tylko wycinek rzeczywistości, skrawek, okruch do pochwylenia. Pochylamy się nad kroplą rzeczywistości, nad przecinkiem w nieskończonym ciągu zdarzeń. Tymczasem Bóg uchwytuje wszystko jednocześnie. W Nim wszystko jest jedno, dla Niego wszystko jest proste.

„Fiksacja” to słowo które wyraża sposób naszego bycia w tym świecie. Fiksacja to stan nastrojenia, otwartość naszego bytu na określony fragment rzeczywistości. Nie możemy przyswoić wszystkiego – choć może i chcielibyśmy mieć wszystko – w gruncie rzeczy możemy niewiele, to lub tamto, nie więcej. Nasze serce jest nieskończone, ale mamy za małe ręce, za małe głowy, za małe usta, za małe brzuchy. Najlepiej gdyby to wszystko, czego chcemy, mogło być ujęte przez nas w jakimś jednym, pro-

stym akcie, po którym stwierdzilibyśmy, że nie trzeba już niczego, nic więcej, to jest to, to jest już wszystko, o co mogło nam chodzić.

Tak jednak nie jest, jest wprost przeciwnie. Każdego dnia dziesiątki, setki rzeczy, spraw, obrazów, uczuć, myśli, stanów, dążeń, idei, celów, obowiązków, projektów, ludzi. Wszystko domaga się dla siebie naszej uwagi, najwyższej uwagi, najwyższego skupienia; jedno toczy walkę z drugim o przywilej pierwszeństwa w naszej świadomości, wszystko chce być na pierwszym miejscu, wszystko chce być dla nas wszystkim. Tymczasem nic nie może panować nad nami dłużej niż przez chwilę, musi ustąpić, stanąć z boku, przesunąć się, zrobić miejsce kolejnym bytom i zdarzeniom, ponieważ życie płynie dalej, toczy się, pędzi; kołowrót kręci się coraz szybciej i szybciej.

Niektóre jednak treści osiągają swój cel, skupiają na sobie naszą uwagę na dłużej; na godzinę, dzień, tydzień, rok, życie, czasem na wieczność. Stają się dominującymi myślami, czynami, celami, stanami, uczuciami, działaniami, projektami, sprawami, ludźmi, bogami, etc.; jednym słowem – naszymi fiksacjami (namiętnościami/obsesjami, jak kto woli) – zaczynają ogniskować wokół siebie pozostałe dążenia, ustanawiając kierunki odniesień.

Niektóre fiksacje stają się tak silne, tak potężne, tak apodyktyczne, że absorbują całego człowieka, pochłaniają go bez reszty, połykają wręcz, nie pozostawiając już miejsca na cokolwiek innego.

Czy fiksacje są dobre, czy złe? Ocena jak zawsze zależy od tego, co z nami czynią, kiedy my je czynimy.

Myszę, że udane życie jest właśnie sztuką zarządzania naszymi fiksjami. Nam ta sztuka z reguły nie wychodzi. Skaczymy z miejsca na miejsce, z chwili na chwilę, z fiksjacji na fiksjację, nie potrafiąc zbudować właściwej hierarchii, żadnego stabilnego systemu wartości, w którym coś jest na stałe wyżej, coś jest niżej, w którym jest obecne coś jedyne, rzeczywiście słusznego, co stanowi punkt centralny, jądro odniesień dla wszystkich innych zaangażowań.

Człowiek, który dąży do świętości nie od razu, nie od początku posiada taką umiejętność. Jego życie jest raczej pasmem kolejnych poszukiwań, podejść, dramatycznych prób osadzenia siebie w stałości jednego, najwyższego zaangażowania, jednego czasu, jednego miejsca. Po latach walki udaje się mu w końcu osiągnąć upragnioną stałość. Zdaje się mu, że wreszcie słowa dosięgły swojej treści. Że znalazł to, czego od zawsze szukał, ponieważ nareszcie zgubił, tzn. porzucił to, czego nie chciał, oddał już Bogu wszystko, może w końcu odpocząć, zacząć świętować, *złapał Pana Boga za nogi*.

Tymczasem złapał diabła za ogon, uległ wielkiej pokusie – pokusie dobrego samopoczucia, mniemania, że jest już wolnym, tzn. *gotowym, by odejść*, gotowym do drogi. Tymczasem Bóg nie żywi się ani ofiarami całopalnymi, ani resztkami z nas. Bóg chce całego człowieka.

I wtedy właśnie, gdy serce sprawiedliwego, poczciwego człowieka uspokoi się na chwilę w samozadowoleniu, dozna błogostanu, dobrobytu, przybywa posłaniec, oznajmiając mu, że właśnie jego wróg albo i przyjaciel wprowadził jego stada, a synowie i córki legli pod gruzami rodzinnego domu, w ruinie jego fałszywej stabil-

ności zbudowanej przez lata pobożnego życia. Wtedy to właśnie jego wróg i przyjaciel wiąże na niego bicz łaski pełne i miota nimi po twarzy, ponieważ upatrzył go sobie, wybrał, powołał, wywraca mu wszystko do góry nogami; jego stoły, jego stragany, jego baranki, jego święta, jego świętości, jego świątynie, jego złudną świętość, wołając donośnie: «To nadal nie to, to jeszcze nie to. Twój bóg to jeszcze nie Ja, twój bóg to zaledwie ty».

Ten właśnie, kto przetrwa to, ten będzie dopiero zbawiony, święty, gotowy do skonania, doskonały.

Dopiero po tym trzęsieniu, Król nareszcie może zająć swoje miejsce na tronie, w świątyni uczynionej własnymi rękoma; na gruzach starych bogów samozadowolenia staje się Bogiem w nas, absolutną *idée fixe*, kimś najważniejszym, jądrem, celem wszelkich innych odniesień. Bóg jest właśnie ową *idée fixe* ludzi świętych – *nic nad Boga, Bóg ponad wszystko*.

Świętość jest w istocie umiejętnością zarządzania własnymi fiksacjami. Rzecz jasna, nie od razu. Bóg staje się w nas stopniowo, odcinek po odcinku, krok po kroku, myśl po myśli. Musimy się bardziej przesunąć do środka i poza siebie, zrobić mu więcej miejsca – tak jak Bóg uczynił miejsce dla nas, stwarzając świat z nicości. Każdego dnia święty stacza zaciekły bój z całym światem, z całym sobą, bój sam na sam ze sobą, najkrwawszy, najzacieklejszy, najświętszy, o owo pierwszeństwo Boga w duszy – albowiem wszystko chce być dla nas wszystkim, a nie ma do tego prawa.

Myśli, zwłaszcza myśli są podejrzane. Rozbiegane jak stado owiec, każda w swoją stronę, każda na przekór.

Myśl jest szczególnie złośliwa, w nieustannym ruchu, niestała, skacząca z gałęzi na gałąź, z kwiatka na kwiatek, z bytu na byt, nawet o nicosć potrafi się oprzeć jak o coś, co daje jej do myślenia. Kiedy już się wydaje, że oto nareszcie myśl uchwyciła się czegoś stałego, ona hyc i jesteśmy już gdzie indziej. I raczej nie wracamy albo wracamy za późno, z reguły o wiele za późno, gdy już jest po wszystkim, gdy już wszystko jest inne, gdy już wszystko inne ma nad nami chwilową władzę, wszystko, tylko nie Bóg. Świat jest w centrum, *bliźni* jest w centrum, „ja” jest w centrum; Bóg gdzieś w tle, z tyłu, na peryferiach serca i umysłu; my zaś mamy za sobą upadek, zdradę, dziurę w duszy. Każde odwrócenie uwagi od centrum bytu jest jakąś postacią zdrady, upadku, odejścia. Modlitwa jest przeciwieństwem zdrady, modlitwa jest powrotem. Ten, kto się modli, powraca do domu; był zdrajcą, synem marnotrawnym, a jest już w domu, jest u siebie. Ten, kto się nie modli, nadal nie wraca, żywi się resztkami rzuconymi świniom. Ten, kto się modli, żywi się perłami. Modlitwa jest synem marnotrawnym, sposobem odchodzenia i powracania.

Umysł jest szczególnym zdrajcą zdolnym oszukiwać samego siebie, niestałym, zakochanym po uszy w sobie samym, w swoich trybach, w ideach; zdradza samego siebie za każdym razem, gdy mówi sobie «jesteś wszystkim, nic ponad ciebie». Tymczasem umysł został stworzony po to, aby przekraczać siebie, skakać w nieskończoność, ponad swoje „tak – tak; nie – nie”, być zdolnym przyjąć za prawdę nawet absurd, jeśli zajdzie taka potrzeba, najwyższa potrzeba, absolutna potrzeba absolutu, ostateczna fiksjacja. Umysł, który jest zdolny do porzucenia same-

go siebie, jest wierny sobie najbardziej, wierny zdolności transcendowania, przekraczania siebie, by uchwycić, objąć, tj. pojąć jeszcze więcej. W nim zaś, tj. w umyśle, najbardziej niestała jest wyobraźnia; obraz przysłania obraz, wizja przegania wizję. Móc wpatrywać się w jedną stronę, w niewidzialne, nie odrywać od niego wewnętrznego wzroku, pozostać z nim, bo tu jest dobrze, najlepiej – można jeszcze raz postawić namiot i nie ruszać się stąd, nie schodzić ku dolinom, ku padołom, do piekieł, gdzie nie ma wpatrywania się w niebo, gdzie jest przerażający widok wpatrywania się w siebie, bez Niego. To pragnienie wypełnia ludzi świętych. Bądź wieczna chwilo, w której *Bóg nawiedza myśl*, w której Bóg nawiedza ciało, w której Bóg nawiedza swój dom, swój obraz, swoje podobieństwo.

Potem należy się obudzić, takie jest prawo bytu, ocucić w samym środku nocy, przebudzić i wrócić do koszmaru życia na wygnaniu, wyjść boso, w cienkiej koszuli, ruszyć w noc, po ściernisku, w śnieżną zamięć. Smak Boga, zapach, dźwięk, uchodzą powoli, wietrzeją, obrazy zamazują się, bledną; myśli pobożne uciekają w świat, we wszystko inne, obce, w to co bezbożne. Przez moment dusza była w niebie, teraz w bólach znowu wraca; jest inna, owszem, nie jest już tą samą, jaką była, zanim stanęła ponad ziemią, na modlitwie, obecnością wobec obecności. Jednak to musi boleć, ta konieczność ponownego dotykania ziemi. Świat jest w ten czas tak zimny, nieczuły, nic nierozumiejący, pochłonięty sobą, odległy, śmieszny, błahy w tym samoopętaniu, zajęty głupstwem, nierzeczywisty, choć nadal prawdziwy, w tej prawdziwości dziwnie nieznośny.

Święty powraca, ponieważ musi; musi *ze względu na nas*, ponieważ taka jest jego powinność, lecz jego serce wypełnia żywa tęsknota, pragnienie innego powrotu. Schodzi z wysokiej góry w głębokie rozdarcie. Jakaś część pozostała tam, jakaś część przyszła z nimi tu; jako nowe, przemienione, zdolne do przemieniania. Święty, który się modli, odchodzi stąd i przychodzi tu, jakaś jego część pozostaje na górze, jakaś część schodzi ku dolinom – *gdzie skarb jego, tam jego serce* – gdzie jego serce, tam jego skarb.

Serce – również ono skłonne jest do zdrady, do tego, by się odmieniać, jak niebo, jak twarz dziecka, raz tu, raz tam, raz przy nim, raz przy sobie – *niespokojne jest serce*. Jest przynajmniej szczerze, bardziej szczerze niż rozum, zarozumiały rozum. W przyptywach i odpływach łaski święty usiłuje pozostać sobą, tzn. próbuje wytrwać przy Tym, który jest dla niego punktem odniesienia, centrum myśli, uczuć i działań, każdego dnia zdradzając Go jednak siedemdziesiąt siedem razy, odchodząc świadomością ku temu, co Nim nie jest; gdyż żaden człowiek o własnej mocy nie jest w stanie skupić się na jednym; permanentna adoracja to stan nie do pomyślenia w warunkach skończonego świata, permanentna adoracja to sposób bycia niebian, a nie nas – ziemian. Nawet mistycy muszą powrócić, powracają do nas – z powrotem na ziemię, od przeżywania do przeżywania.

Oczywiście stany doskonałej fiksacji zdarzają się. Są święci, którzy z jakiegoś powodu zostali pozbawieni konieczności zaspokajania naturalnych potrzeb, którzy np. przez lata żywili się jedynie eucharystią. Jest też modlitwa serca oraz inne techniki koncentracji, które

mają odwrócić naszą uwagę od świata i skierować ją ku Bogu. W istocie cała nasz duchowość ma za zadanie oderwać nas od wszystkiego, co nie jest Bogiem. Jedyne śmierć, *możliwość, która kładzie kres wszelkim innym możliwościom*, umożliwi nam ten stan, to skupienie, ten przywilej wpatrywania się w jeden punkt, rozkosz bycia pochłoniętym przez jedno. Śmierć zamknie nam oczy na wszystko – śmierć otworzy nam oczy na jedno. Jesteśmy rozbici; w kawałkach, strzępach, okruchach. Śmierć pozbiera nas z ziemi i zabierze. Śmierć jest najwyższą uwagą, ostateczną koncentracją; śmierć to skupienie ciała i duszy w Bogu. Każda zatem modlitwa, dobra modlitwa, szczerą modlitwa, o tyle, o ile jest odrywaniem nas od życia, ma w sobie coś ze śmierci, jest sposobem umierania – modlitwa jest sposobem umierania.

Każde zatem oderwanie się od życia jest modlitwą. Śmierć jest modlitwą. Święci modlą się nieustannie, ponieważ stale odchodzą od nas. Wypędzamy ich spośród siebie, czasem chcemy, aby byli, aby pozostali z nami, lecz są dla nas tak inni, tak boscy, że aż obcy, nieludscy. Mojżeszowi, kiedy zszedł z góry, kiedy wrócił z modlitwy, z rozmowy z Bogiem twarzą w twarz, kazano zasłonić twarz, gdyż nie mogli znieść blasku odbitego na niej Oblicza – bali się śmierci, bali się prawdziwej modlitwy, bali się rozmowy z Bogiem twarzą w twarz. Śmierć jest rozmową z Bogiem twarzą w twarz.

Uciążliwe jest przebywanie w towarzystwie kogoś takiego, o tak odmiennym sposobie bycia, stylu nieprzystającym do niczego stąd. Lubimy patrzeć na nich, lubimy patrzeć od czasu do czasu, jak na tygrysa w klatce, lwa w zoo. Świętych wstawiamy w nasze ramy, w nasze obraz-

ki, nasze klatki, zawieszamy na ścianie, żeby ich oswoić, tzn. umieścić w bezpiecznej odległości, w bliskiej nam odległości – w odległej bliskości; albowiem, nazbyt długie przebywanie w towarzystwie człowieka owładniętego fikcją absolutną, fikcją Boga i każdą inną fikcją jest męczące, czasem niebezpieczne, a nam najbardziej rozchodzi się o bezpieczeństwo; żadnych wojen, zwłaszcza duchowych wojen; duchowych wojen, w duszy o duszę. Niech owce rządzą światem, a nie lew – *drogi jego do naszych niepodobne, uwierzył, że Boga ma za ojca.*

Niektórzy może myślą, że życie w obecności świętego jest niezmiernie proste i lekkie, przyjemne, błogie i błogosławione. Dzień w dzień, noc w noc, święty, święty, święty – nic podobnego. Święty jest jak drzazga w oku, kamień w bucie, sól w ranie. Samo jego istnienie jest dla nas oskarżeniem, wyrzutem sumienia. Albowiem my tacy nie jesteśmy, a powinniśmy być, jeśli chcemy być, a przecież nie łatwo jest być właśnie takim.

Nie łatwo być świętym – nie łatwo też żyć ze świętym pod jednym dachem. Święty musi odejść z naszej krainy, wolimy paść nasze ciała, nasze świnie, niż ratować nasze dusze. Permanentną obecność Jezusa mogli znieść tylko ci, którzy sami byli podobni do Niego, mniej lub bardziej. Jedyne sposoby, by znieść stałą obecność świętego to naśladować go. Albo będziemy naśladować, albo będziemy prześladować, ponieważ ci, *którzy są w mroku, nienawidzą światła*, prześladowają je i *krótki czas chcą cieszyć się nim*, chcą, by było podobne do nich, we wszystkim, łącznie z mrokiem, łącznie z grzechem.

Chcemy jeść, pić, bawić się; raz tu, raz tam; raz tymi, raz z tamtymi; w zmienności, w migotliwości – w nie-

stałości odnajdujemy naszą stałość. Czujemy się dobrze, ponieważ zatracamy się; gubimy się, ponieważ chcemy się zgubić, ponieważ nic nie ciąży nam bardziej niż my sami. Oni zaś przypominają nam, kim nie jesteśmy. Święci chcą tylko jednego, a my chcemy wielości, zmienności, im zaś jedno jest w duszy, jedno w sercu, jedno głowie – jedno przykazanie: *będziesz miłował Pana Boga swego, cały swoim sercem, całą swoją mocą, całym swoim umysłem* – to jest fiksacja, której się boimy.

Śpiący nie lubi, gdy się go budzi, dlatego prześladowe naśladowcę, zabija natręta. Zabili Sokratesa, zabili Jezusa, zabili Pawła. Zawsze zabijają najlepszych. Najlepsi muszą zginąć. Tu przetrwają tylko najgorsi.

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie	5
Idée fixe	7
Dystans i zaangażowanie	17
Dar	31
Ślad	37
Nawrócenie	41
Droga	46
Śmierć ja, narodziny Ty	52
Powtórne narodzenie	61
Samo-przez-się-posiadanie	64
Spójność	67
Sacrum et profanum	72
Cierpienie	77
Święty spokój	82
Pochwała szaleństwa	85
Obecność wobec obecności	91
Święci i grzesznicy	103
Dowód antropologiczny	109
Próba smaku	112

Święci i technologia	122
Którzy źle się mają	127
Poszukiwanie perły	130
Homo orans	135
Święci i cudożercy	139
Grawitacja nieba	142
Styl umierania	147
Życie na odwrót	151